№ 7. Warszawa, dnia 3 (15) Lutego 1888 r. Rok XXIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

BYRON.

Największemu, obok Shakespeare'a, geniuszowi swemu w poezyi słów Anglia nie dała dotąd ani miejsca w Westminsterze, ani, w stuletnią rocznicę jego urodzin — świadectwa czci geniuszom należnej. Było coś ściskającego pierś w doniesieniu z Londynu, że tylko grecka kolonia wystąpiła z obchodem jubileuszowym, a sami Anglicy niczem nie okazali, że im drogą jest ta pamiątka przyjścia na świat istoty ludzkiej, którą tak potężny duch twórczy obrał sobie za pracownią. Jakto! w wieku jubileuszów i pomników, w wieku pychy i próżności, — rocznica tak wielkiego człowieka przechodzi jakby dzień najpowszedniejszy, i co więcej, w tym dniu jeszcze myśl potomnych, nieubłagana, niemiłosierna, zamiast zapalać, gasi,—zamiast rozgrzewać, studzi — i nie entuzyazmu wieńce, ale pęki rózg składa na grobie najpierwszego, najpoczytniejszego poety XIX wieku?

Co to za naród, który nie czci swej wielkości? I co za przyczyna, że czcić jej nie chce? Na pierwsze pytanie odpowiada charakter angielski, na drugie życie poety. Można się nie godzić na ustrój społeczeństwa angielskiego, na rozumową prawowitość źródeł panujących w nim opinii, na samo to bezrobocie wdzięczności, jakie Anglicy w rocznicę bajronowską, wbrew całemu światu cywilizowanemu urządzili u siebie; ale po przypomnieniu sobie kolei żywota poety, nie podobna odmówić temu zacięciu się potomnych pewnego uroku sprawiedliwości. Surowość okazywana dzisiaj Byronowi nie jest ani klerykalno-arystokratycznym *cantem*, ani pedantyzmem szczerej już moralności: rozwaga ukazuje w niej żywioły zdrowego rozsądku i zdrowych uczuć etycznych. Opinia angielska stwierdza na Byronie zbyt często lekceważoną tezę ścisłego związku literatury z życiem. Gdy się w życie Byrona wejrzy, to geniusz jego przeraża, sprawia demoniczne jakieś wrażenie. Stajemy w obec zagadki: jak taka potęga umysłowości mogła się pogodzić z takiem sowizdrzalstwem w życiu — i dlaczego demiurg świata—stwarzanego ciągle przez myśl ludzką—nie wybrał sobie innej, godniejszej jakiej osobistości, aby z niej i samemu posągowi ducha twórczego dać głębszy fundament, wyższy ku niebu piedestał?

Byron wyszedł z rodziny arystokratycznej i takie pochodzenie swoje wysoko cenił. Naturalny prąd krwi Byronów poczyna się w jednym z towarzyszów Wilhelma Zdobywcy, Randulfie de *Burun*. W linii macierzystej Gordonowie, z dodatkiem „of Gight", byli starą i znamienitą szlachtą szkocką, wynoszącą się nawet ponad ród książęcy, tejsamej nazwy. Kroniki angielskie z Wojen Krzyżowych zapisują kilkakrotnie nazwisko, które poeta na świat ze sobą przyniósł. Wojna Białej i Czerwonej Róży nie obyła się bez Byronów. Kiedy Henryk VIII znosił klasztory, ulubieniec jego, John Byron, otrzymał w darze Newstead-Abbey pod Nottingham, w hrabstwie tejżesamej nazwy, w środkowej Anglii; odtąd było to dziedzictwo rodowe. Dotychczasowi „rycerze" zostali baronami na Rochedale'u. Majątku miewali zwykle mniej niż namiętności. Prawda, że w rodzie Gordonów trucizna i mordercze żelazo nie próżnowały, ale już je czas był przysłonił w XVIII w.; gdy tymczasem Byronowie składali jeszcze w owej epoce dowody przeważającej zmysłowości, okrucieństwa, mściwości, ale przytem też zuchowatości i odwagi. Dziad poety Jan, zwany „hardy Byron" był admirałem floty angielskiej z dość rozgłośnem imieniem. Brat jego, Wiliam, człowiek atrydycznych namiętności, zabił swego sąsiada w pojedynku bez świadków, znęcał się nad ludem, palił, bił i zabijał każdego kto mu zaszedł w drogę, a rezydencyą swoję Newstead uczynił przybytkiem wszelkiego wyuzdania. Los zrządził, że po nim właśnie odziedziczył poeta siedzibę rodową, a do wnuczki zabitego przezeń sąsiada, miss Anny Chaworth, zapałał namiętną miłością. Syn admirała, a ojciec poety, kapitan Jan Byron, znany był pod przydomkiem „Szalonego Jacka." Służył on w gwardyi królewskiej przeciwko Amerykanom, żył hulaszczo, uwiódłszy żonę margrabiego Carmathen, stracił jej majątek, wtrącił ją w zgryzoty i przyprawił o śmierć. Lekkie życie pożądało pieniędzy: dla pieniędzy też ożenił się powtórnie z bogatą dziedziczką szkocką miss Catheriną Gordon. Sprawił się szybko: w ciągu niespełna dwóch lat z 24 tysięcy f. st. zostawił tylko trzy. Zawiedziona, porzuciła niegodziwca we Francyi i przyjechała do Londynu. Tu, w domu przy Holles Street, d. 22 Stycznia 1788 r. przyszło na świat dziecię, które rozwinęło się w wielkiego poetę. Według swego stanu cywilnego nosiło ono nazwisko: „Jerzy Noel Gordon Byron." Poeta lubiał opuszczać jedno z dwóch imion, oraz przydomek macierzysty „Gordon": bo pochlebiało mu to, że pozostałe dwa wyrazy zaczynają się od tychsamych liter, które były cyframi wielkiego awanturnika wojennego.

Na wychowanie dziecka godny ojczulek nie wpływał wcale, gdyż wkrótce uwolnił od siebie świat, który i tak już miał dosyć jego kapitaństwa. W r. 1790, kiedy jeszcze żył, żona przeniosła się z synkiem w strony rodzinne, gdzie żyć jej było łatwiej, i osiadła w nadmorskiem Aberdeen. Dziecięciu przy urodzeniu skrzywiono nóżkę i na całe życie uczyniono je kaleką, ale gorzej jeszcze, bo w dzieciństwie już spaczono mu charakter. Dziecko wolne było wprawdzie od złego wpływu ojca; ale i wpływ matki nie okazał się zbawiennym. Zdanie o wielkich

matkach wielkich ludzi znalazło tu, w przeczącej swej postaci, nowe stwierdzenie. Jeżeli przy wszelkich zboczeniach temperamentu umysł ulega pokusie dopatrywania dziedziczności, to przy wpływie charakteru rodziców na charakter dzieci wprost już zasady tej odrzucić nie zdoła. Pani Gordon Byron była fantastyczką, popędliwą, despotyczną, pełną przywidzeń i przesądów, niezdolną do utrzymania jakiejkolwiek ciągłości w poglądach, wrażeniach zajęciach swoich — i wskutek takiego charakteru swego do człowieczego macierzyństwa żadnego zgoła powołania nie miała. Zamiast wychowania—spaczenie, zepsucie, rozwój zmysłowych popędów, przytępienie uczuć, pod gorącym tylko oddechem życia rozwijać się mogących, zupełna neutralność moralna, brak szacunku synowskiego, nawet lekceważenie matki: takie były owoce tego wychowania, a raczej współistnienia, w którém umysłowość dziecka nie doznawała najlżejszej nawet wychowawczej uprawy, a wrażliwość nadmiernie się rozwijała. W piątym roku życia już miał malec swój ideał kobiecy, Maniusię Duff, i osnuwał jej postać pajęczemi niciami marzeń, nawet jeszcze niezdolnych się ukształtować. Z silnego, ogromnego mózgu — podobno dorównywającego wazą mózgowi Napoleona—tryskała żądza wiedzy, objawiająca się ciekawością. Nauki jakotako uporządkowanej dziecko nie otrzymało prawie wcale; ale zaledwie nauczyło się czytać, chciwie już pochłaniało książki, szczególniej podróże, opisy Wschodu, powiastki arabskie. Wprawiały one w ruch koła potężnie zarysowującej się fantazyi, ćwiczyły jej energią przyrodzoną. Na tem zamiłowaniu podróży i tureckiego Wschodu—raz wrażonem w umysł, z czasem zaszczepił się osobny typ twórczości.

Miało dziecko rok jedenasty, kiedy prawnie zostało parem Anglii. W r. 1798 zmarł ów srogi a rozpustny lord William,—majątek wraz z tytułami zostawiając, najbliższemu już wówczas, wnukowi swemu po bracie. Parowstwo zaczęło się od przewiezienia para do rezydencyi rodowej w Newstead, a zaznaczyło na początek wyłamywaniem owej nieszczęsnej nogi, skrzywionej przy urodzeniu. Lordowi nie wypadało być kulawym. Wziął go tedy jakiś „empiryk“ do siebie, do Nottingham, i męczył przez kilka tygodni Udręczenie dziecka było jedynym owocem medycyny i chirurgii. Z nielepszym skutkiem wychodził młody Jerzy z rąk głośnego Dra Baillie w Londynie, dokąd go z Nottingham zawieziono. Jak pojechał, takim powrócił. Wyrzekając się już kształtności fizycznej, zaczęto — teraz dopiero—kształtować umysł. Wzięto do malca bardzo dobrego pedagoga, Dra Glennie z Dulwich; ale nieukrócony bezład w charakterze matki dziecka psuł ciągle robotę wychowawcy. Małemu parowi groziło już nieuctwo, groziła gnuśność. Wdał się w sprawę jego przyszłości opiekun, lord Carlisle: wyrwał dziecko z domu matki i oddał do konwiktu w Harrow. Kształciły się w niem młode pokolenia lordów, — głównie w początkowych naukach klassycznych. Kollegami Byrona byli: książę Robert Peel, książę Dorset, lord Gort. Kolleżeństwo zaczęło już prowadzić do przyjaźni, a ta byłaby już dalej może uszlachetnienia przyrodzonych żywiołów ducha dokonała; ale na moralnym ugorze, jaki pozostawiło po sobie wychowanie macierzyńskie, rosło już tyle chwastów, temperament odzywał się tak silnie, próżność własna i przykład starszych tak nieszczęśliwie oddziaływały na duszę chłopca, — że poważny biograf Byrona (przy zbiorowem wydaniu dzieł przez Routledge'a) pobytowi w Harrow przypisuje wszystko to złe, z jakiem osobistość Byrona, jako siła społeczna i towarzyska, w praktycznej stronie swego istnienia przeszła przez życie. Charakter źle się kształtował, ale umysł w ścisłem, wyodrębnionym swoim zakresie, korzystał wiele. Gwałtowna żarłoczność opanowywała chłopca, na widok każdej nowej nieznanej książki. Pomimo tysiącznych psot zajmujących czas i odrywających umysł od pracy, młody par poza lekcyami przeczytał w Harrow takie mnóztwo książek, i taki ogromny zasób wiadomości sobie zdobył, rozwijając się przytem przedwcześnie, że cała jego edukacya poetyczna, to jest ta, na jakiej przyszli poeci, przywodząc pedagogów do rozpaczy, poprzestawać zwykli, była już prawie skończoną, kiedy po pięciu latach nauki gimnazyalnej młodzieniec przechodził na uniwersytet do Cambridge.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POGAWĘDKA.

Los Herkulanum i Pompejów groził Warszawie na początku bieżącego miesiąca, tylko, że zamiast lawy i popiołu, w lawinę sypkiego śniegu chciały nieba zagrzebać nasze miasto, które wygląda dziś, jak elegantka, wracająca z balu i otulona białem futrem po same uszki.

Śnieg padał i padał jak... kursa na giełdzie.

Zdawało się, że ta zadymka nie skończy się nigdy, i że jakieś złośliwe Danaidy postanowiły naśladować Heliogabala, który na ucztach dworzan swoich dusił gradem kwiatów, spadających z powały; białe płatki śniegu, jak poskubany jaśmin i konwalie, fruwały przez całe dnie w powietrzu i cicho, cichuteńko układały się w coraz grubszą warstwę na stopę, na dwie, na cztery, na dziesięć... w niektórych miejscach jeszcze wyżej.

Czy uważaliście, jak śnieg pada?... całkiem inaczej od deszczu i gradu.

Grad ma w sobie naturę choleryka: dudni, tupie, hałasuje, grzmoci z impetem, wyzłości się i, jak nagle wypadł, tak nagle znika. Awanturnik z niego; czasem gdy się bardzo rozsroży, narobi szkody, narozbija mnóztwo szyb, wytłucze mnóztwo wróbli, stratuje zboża, trawy, połamie gałęzie na drzewach, ale najczęściej nastraszy tylko, nahałasuje i ucieka.

Deszcz już miewa bardziej urozmaicony temperament, raz jest sangwinikiem, choć z samej wody się składa, drugi raz melancholikiem, w naszych jesiennych dniach, innym razem nudnym flegmatykiem i pedantem, odrabiającym kropla po kropli swój referat.

W lecie inny, na wiosnę inny, w jesieni inny, ma swoje fantazye, swoje humory, swój rytm odmienny, swoje effekta polifoniczne, kiedy mu wiatr serenadę śpiewa; czasem bywa tak monotonnym, że mógłby zanudzić na śmierć, a niekiedy ma coś figlarnego w sobie, jak pusta dziewczyna podczas śmigustu: kropi i śmieje się.

Ale śnieg przy wszystkich niewinnych pozorach, przy swojej liliowej białości, puszystej miękkości, pięknym wyglądzie—to srogi despota, układny, potulny, cichy i milczący, jak niemowa, a umie być strasznie okrutnym.

Grad stopnieje i znika, deszcz spłynie i wsiąknie w ziemię—śnieg przytula się do niej, niby z pieszczotą, pokrywa ją coraz grubszą warstwą, a potem pod skorupą więzi i trzyma w lodowym uścisku dnie, tygodnie, miesiące całe.

W tem cichem, bez szelestu, fruwaniu śnieżnych płatków jest dla mnie zawsze jakaś tajemnicza groza; wirowy ruch iskrzących gwiazdek w atmosferze budzi we mnie niepokój. Często nie wiem, czy w górę lecą, czy na dół spadają.

Jak biała, cicha, potulna zmora migotliwa, swemi białemi centkami zagarnia całą atmosferę i rzuca się na ziemię, ludzi, źwierzęta, domy, drzewa, krzaki, niby puch bez żadnej wagi—zasypuje całe okolice, grzebie żywcem, rośnie w olbrzymie rozmiary, nabiera ogromu, ciężkości i przygniata ludziom dachy nad głową, przewraca całe drzewa po lasach, stawia kopce, jak góry, i sypie nieprzebyte wały po drogach, jak barykady.

Śnieg—to biały despota... blady z tłumionego okrucieństwa, olbrzym posiekany na miliardy cząsteczek, które się z sobą łączą i zrastają przy dotknięciu, zimny okrutnik i podstępny hypokryta...

Nie pamiętają najstarsi ludzie takiej śnieżycy, jaka się w tym roku zwaliła na nas. Pociągi na kolejach żelaznych wstrzymano, miasta ze wsią straciły na pewien czas wszelką kommunikacyą; były wypadki całkowitego zasypania siedzib ludzkich do tego stopnia, że się ludzie wydobyć nie mogli nazewnątrz.

— Co będzie dalej?—pytają jedni drugich.

— Jeżeli przyjdzie odwilż powolna w dzień a przymrozki nocą—odpowiada optymizm—śniegi stopnieją i odpłyną.

— A jeśli tajać zacznie nagle?

— Po co takie przypuszczenia!... alboż to mało klęsk mieliśmy dotychczas?

Z tej massy śniegu mogą powstać powodzie, zerwać się z pól, łąk, lasów i rozlewać na wszystkie strony; każda struga, każda rzeczka wówczas grozi napaścią rozpętanego nagle żywiołu.

Niebezpieczeństwo nie przestanie wisieć, jak miecz Damoklesa, nad naszemi głowami, bo chociaż wiosenne słonko topić będzie tę olbrzymią śniegu skorupę i zdzierać ją, jak tarczę żółwia z grzbietu ziemi, to i tak złe tylko w połowie ustąpi. Przyjdzie Maj, Czerwiec, zaczną się roztopy w górach zaśnieżonych, i wtedy dopiero może spaść katastrofa większa, niż kiedykolwiek była.

— A co będzie z zasiewami? — spytałem rolnika.

Pokręcił głową i zachmurzył czoło.

— Jeżeli śniegi spadły na zmarzniętą ziemię—rzekł—ziarno nie przepadnie, ale gdzie pokryły spulchnioną skibę, bieda będzie. Ozimina stracona!

Od wiosny i jej łaskawych uśmiechów wszystko zależy; ale kto może przepowiedzieć: jaką będzie ta kapryśnica, która raz sypie na nas fiołki w Marcu, a drugi raz śniegiem obrzuca w końcu Maja?...

Nie mam ziemi, nie orzę i nie sieję—a ciarki mi po grzbiecie przechodzą.

Kiedy to piszę, świat jeszcze nie odzyskał równowagi i nie jest usposobionym do reflexyi; karnawał dotupuje ostatnich hołubców, wszystko wiruje, kręci się, podrygiwa, zapustny bąk furczy i brzęczy tembardziej, im bardziej się pochyla na swojej nóżce.

Gdy moje pismo drukiem się stanie, będziecie mieli już głowy posypane popiołem i rozpoczniecie wielkopostne rozmyślania.

Karnawał tegoroczny był krewki i ochoczy; zadeptywaliśmy tego mola, co nas gryzie, podeszwą i obcasem, tańczyliśmy do upadłego, wmawiając w siebie, że się bawimy skromniej i oszczędniej, niż lat poprzednich.

W niedzielę ostatnia maskarada z tombolą na korzyść kassy pożyczkowej artystów dramatycznych poruszyła raz jeszcze *tout Varsovie*. Przy kołach Fortuny zasiadły wszystkie boginie i nymfy dramatu, opery i baletu; zwyczajny *plebs* śmiertelników miał sposobność zmieszać się z teatralnym Olimpem.

Musiało być pełno, bo któż nie chciał skorzystać z tej okazyi, by całą kapitułę i cały nowicyat Melpomeny poznać zblizka?

Spałem tej nocy i śniło mi się, żem odmłodniał o lat kilka, że byłem na balu, trzymając drżące serce w jednej, a gruby pugilares w drugiej ręce, że od stolika do stolika fruwałem, jak motyl wśród centofolii i gwoździków (skromne fiołki i poetyczne konwalie bardzo rzadko rosną na grzędach Melpomeny), że, myląc się co chwila, raz serce, drugi raz rubla rzucałem na tacę, próbując szczęścia i zdobywając miłe uśmiechy Fortuny i milsze uśmiechy naiwnych i primadon naszych.

Nad ranem uczułem wielką pustkę w obu rękach; ubyło mi serca i pieniędzy; zacząłem się śmiać gorzko i śmiech mnie obudził.

Przede mną leżał już *Kuryer Poranny*, z którego dowiedziałem się, że bal maskowy udał się wybornie, jakkolwiek mnie na nim nie było; że śpiewano „Mikada“ na wielkiej scenie, a żywe obrazy pokazywano w Rozmaitości, że dochód na kassę pożyczkową będzie znaczny i że w roku przyszłym karnawał znowu skończy się tombolą.

Serce znalazłem na zwykłem miejscu, a pugilares nietknięty na stoliku. Morfeuszu, dziękuję ci, żeś mi tę noc przespać pozwolił w mojem własnem łóżku...

Ilu dziś młodych naiwnych zazdrościć mi musi!

Cokolwiekby na ubiegły karnawał powiedzieć się dało, trzeba mu przyznać zasługę, iż filantropii dobrze się przysłużył. Każdy bal z dobroczynnym celem udawał się nadspodziewanie. Szpitalik dla dzieci zyskał przeszło 5.000 rs. zasiłku, a jak na dochód z jednej zabawy, to summa, która zaszczyt przynosi nogom i sercom naszego *high-life*'u, bo, jak wiadomo, bal szpitalikowy—to bal arystokracyi warszawskiej

Post chce być podobnym do swego poprzednika; nakreślił sobie cały programat rautów, koncertów, odczytów, przedstawień amatorskich, których liczba zrównoważy ilość zabaw karnawałowych.

Opowiadał mi p. Dobiecki o nowym pomyśle, którym doroczny raut na korzyść Towarzystwa św. Wincentego a Paulo pragnie tym razem jeszcze bardziej spopularyzować: oto gospodynie tego rautu urządzą własnym kosztem bufety i rozsyłać będą swoim znajomym ze wszystkich sfer towarzyskich imienne zaproszenia na herbatę lub kieliszek szampana, nie u siebie w domu, ale w sali ratuszowej.

Bilet wstępu, *nb.* kupiony w kasie, daje prawo wstępu, a zaproszenie znajomej damy nada prawo do traktamentu, za który oprócz ukłonu, uścisku drobnej rączki i kilku komplimentów nic się więcej uprzejmym gospodyniom nie będzie należało.

Raut nabiera w ten sposób charakteru prywatnej recepcyi, a zaproszeni goście mogą przyjść bez obawy, że ich filantropia wyzyskiwać będzie i że muszą się poczuwać do obowiązku przepłacania zbyt słono podanej filiżanki herbaty z sucharkiem, lub pomadki, zjedzonej na korzyść biednych.

Ten wzgląd odstręczał i powstrzymywał wielu. Pomysł p. Dobieckiego, którego inwencyą zawsze podziwiałem w zakresie filantropijnych przedsięwzięć, ma zasługę nowości i praktyczności, zastosowanej do chwili bieżącej.

Nie braknie na raucie muzyki i deklamacyi; muzyka w tym sezonie zimowym górowała nad wszystkiemi siostrzycami w sztuce i nigdy chyba melomania nasza nie miała gwałtowniejszych attaków, niż obecnie.

Ostatniem bożyszczem muzykalnej Warszawy była Zofia Menter; trzy pełne koncerta dała w Teatrze Wielkim, zebrała huragan oklasków, schowała pieniądze do kieszeni i puściła się na dalszą wędrówkę artystyczną.

Nie odważam się krytykować gry znakomitej pianistki wobec panów przysięgłych od muzyki, ale mi wolno wyrazić prywatne zdanie stałego bywalca na wszystkich prawie koncertach w charakterze miłośnika sztuki; otóż śmiem wyznać, że gra Zofii Menter zadziwia, ale nie porywa, celuje brawurą, ale nie tym prawdziwym temperamentem, którego podkładem bywa uczucie, olśniewa wytrzymałością palców, młócących klawisze z rozmachem małych cepów i imponuje przedewszystkiem potężną siłą.

Powiedziałbym, że jest coś bismarkowskiego w tej grze, której „siła przed prawem“ stanowi najwłaściwszą dewizę. Dla wielbicieli tej zasady w krytyce, Menter jest pianistką znakomitą; dla zwolenników prawa, należnego takim kompozytorom, jak Beethoven, Szopen, Schumann, jest ona tylko wirtuozką, wykonywającą jedynie mechaniczną część swego zadania.

Liszt—oto żywioł i repertoar jej najwłaściwszy; jego utwory „pokonywa“ z wprawą i pewnością atlety, który na małym palcu podnosi ciężary a w którym jedyną rzeczą interessującą i godną podziwu są... muskuły.

Słuchając Rubinsteina, nie mogłem oczu oderwać od jego genialnej twarzy; słuchając Menter, patrzałem tylko na jej—palce...

A przecież, czy może być bardziej urocze zjawisko, jak ładna kobieta, grająca dobrze na fortepianie, z artyzmem i uczuciem, dająca rozkosz oczom, sercu i słuchowi!...

Bogi, nie weźcie mnie za słowo i nie każcie na postnych rautach słuchać popisów naszych domorosłych koncertantek, które na to odbywały officyalny kurs muzyki w pensyonarskich latach, aby potem w salonie przy gościach składać examin talentu swego. Talentu najczęściej nie było, ale panna musi „posiadać fortepian“ i być obowiązkowo muzykalną, bo tak każe tradycya i etykieta.

Przypomina mi to głuchoniemych, którzy sobie w Ostatki bal urządzili w gospodzie przy ulicy Piwnej i tańczyli na zabój, nie słysząc wcale muzyki. Kiedy jednego z nich zapytano — na piśmie

— Po co wam potrzebna muzyka, skoro jej nie słyszycie? — odpowiedział z całą powagą:

— Dla zachowania zwyczaju i form etykiety.

Tę—samą odpowiedź dałaby każda mama, gdyby ją w sekrecie zapytano: po co każe uczyć swe żeńskie a niemuzykalne pociechy gry na fortepianie, albo śpiewu?

Fortepian jest bowiem również potrzebnym meblem w salonie, jak fotel i lustro nad kominkiem, a należy do wyprawy taksamo, jak łóżka i kredens.

Dam pokój temu tematowi, który mi tyle razy przychodzi do głowy, ile razy zobaczę owego salonowego potwora, wyszczerzającego swe białe i czarne zęby, na których „nasze córki“ bez talentu wyłamują sobie niepotrzebnie palce całemi godzinami, aby zadość się stało zwyczajowi i formom etykiety.

Najbliższą sensacyą postu mają być odczyty na korzyść Osad Rolnych; będzie ich dziesięć. Najciekawszym dla szerszej publiczności będzie zapewne temat obrany przez dra Al. Fabiana i dra J. Ochorowicza. Pierwszy opowie nam o „hypnotyzmie w nauce i praktyce,“ drugi „z historyi magnetyzmu i hypnotyzmu.“

Trzech professorów Uniwersytetu Jagiellońskiego stanie na mównicy prelegenckiej: dr Maurycy Fierich czytać będzie „O prawie i nauce prawa;“ dr Edm. Krzymuski „O nowej szkole włoskiej prawa karnego;“ dr Józef Rostafiński „O palmach.“ Z miejscowych prelegentów, dobrze zapisanych w pamięci słuchaczy, wystąpi dr Henryk Łuczkiewicz, aby opowiedzieć tym razem „O znaczeniu medycyny i stosunku medyków do społeczeństwa dawniej, a teraz.“

Większość tematów ma charakter specyalny, naukowy; literatura nie jest wcale reprezentowaną, ale kto chce odnieść pożytek poważniejszy i nauczyć się czegoś tanim kosztem, ten nie da się zrazić brakiem ponętnych tytułów i pośpieszy do sali ratuszowej, jak do szkoły, nie jak do salonu na miłą pogawędkę.

Szkoda, że u nas nie zaprowadzono zwyczaju odczytywania publicznie utworów konkursowach, uwieńczonych jakąkolwiekbądź nagrodą, zwłaszcza z dziedziny dramaturgii, skoro najczęściej nie można ich zobaczyć na scenie. Nie widzieliśmy ani „Floryndy,“ ani „Alberta Wójta,“ ani „Minowskiego,“ ani „Leny“ na deskach naszego teatru i zapewne nie zobaczymy, (a przynajmniej nie tak rychło), nowego utworu, któremu komitet konkursowy imienia Żółkowskiego przyznał drugą nagrodę. Nosi on tytuł: „Na ojcowiznie“ a powstał wspólnemi siłami p. Alfreda Szczepańskiego i p. Ulanowskiej.

Oile mi wiadomo, jest to sztuka ludowa, napisana z talentem oryginalnym, nowa w pomyśle i wykonaniu, ze znajomością stosunków życia i duszy naszego ludu wiejskiego.

Sprawozdanie kommissyi umotywuje zapewne bliżej wyrok sędziów; to jednak jest charakterystycznem znamieniem, że na czterdzieści sztuk nadesłanych, nie znalazła się żadna, zasługująca na pierwszą nagrodę, a drugą, w kwocie 400 rs., wzięła sztuka ludowa.

Ja wiedziałem oddawna, choćby z własnego doświadczenia, że to nie łatwa rzecz napisać dobrą komedyą współczesną i że komedyopisarzem nie podobna zostać w ciągu jednego roku, jeżeli się poprzednio nie przeszło dwojakiej szkoły: szkoły życia przedewszystkiem i szkoły pisarskiej.

Do komedyi trzeba zbierać i przygotowywać materyał z obserwacyi żywej natury; nie można jej tworzyć z zamkniętemi oczyma i z głową w górę zadartą od rozwichrzonych natchnień i fantazyi; trzeba patrzeć długo dokoła siebie, poznawać, badać, szperać, gromadzić szczegół po szczególe, trawić w sobie: a dopiero potem można utworzyć dobrą komedyą.

Na tragedyą zdobędzie się młodość niedoświadczona,—na komedyą tylko wiek dojrzały; dlatego musiałem powątpiewać, aby z konkursu wyskoczył nowiutki i świeżutki komedyopisarz, bez poprzedniej praktyki i doświadczenia. Jeżeli starsi nie wezmą się do pióra i nie dadzą się zachęcić do pisania komedyi na konkurs, z nieznanych młodych wielkiej odrazu i prawdziwej pociechy trudno się spodziewać.

Niéma reguły bez wyjątków, ale na mój rozum—tak mi się ta sprawa przedstawia.

Zobaczymy, jaki rezultat przyniesie konkurs redakcyi *Echa*, który w wyniku konkursu *Gazety Polskiej* będzie już miał pewną rywalizacyą; tu i tam bowiem sztuka ludowa stanie do porównań, w *Gazecie* z przypadku, w *Echu* z obowiązku.

Termin nadsyłania utworów kończy się z dniem 15-go Maja r. b.

Konkursomania nie wygasa u nas na polu literatury i sztuki. Oto sympatyczna „Lutnia“ wabi muzyków dźwiękiem złota do nowego turnieju; żąda, za nagrodę 5-ciu dukatów, utworu chóralnego na głosy męzkie w formie pieśni do textu polskiego, którego wybór zostawia się autorowi, byle tylko (text, nie autor) miał wartość literacką.

Termin nadsyłania utworów pod adresem „Lutni“ w Warszawie, oznaczono na dzień 15-go Kwietnia r. b. Dwa następne, wyróżnione utwory ozłocone będą również—dukatem.

Jakkolwiek „złoto, złoto jest chymerą,“ ze względu jednak na to, że nasi kompozytorowie zawsze go potrzebują, mam dobre przeczucia co do wyniku nowego konkursu muzycznego; dźwięk dukata, tak rzadko słyszany w tych czasach, podda zapewne świetny ton do stroju twórczej fantazyi i przybędzie nowy a piękny kwartet do drugiego śpiewnika „Lutni.“ który układa p. Piotr Maszyński, dzielny dyrektor dzielnego chóru.

Dziwię się, że dotąd tak mało za przykładem Warszawy idzie prowincya i nie organizuje u siebie śpiewaczych drużyn; w Niemczech każde mniejsze miasto ma swoje *Sängercluby* i *Gesangvereiny*, które i sztuce, i życiu towarzyskiemu oddają niemałe przysługi. A u nas takby się przydała na głuchej prowincyi jakaś dźwięczna harmonia.

Partykularz nasz ospały, ciężki, rozleniwiony, umysły drzemią, nawet ochota do zabaw, nawet instynkta życia towarzyskiego zamierają.

Na Boga, nie zasypiajcie, jako panny ewangeliczne!...

Quis.

PRACA KOBIET
na Wystawie Tkackiej.

(Dokończenie).

Jaką jest domowa fabryka tkanin wełnianych pani Emilii Korsakowej z Annińska, powiecie Siebiezkim, wiedzą już poniekąd czytelnicy naszego pisma. Surowy klimat stron tamtych utrudnia chów owiec z gatunku merynosów, więc w Annińsku zaprowadzono gatunek wytrzymalszy, pochodzący z wyspy Oesel i z wełny tych-to owiec, miejscowego chowu, której część tylko oddaje się do przędzalni mechanicznej, a reszta jest przędzona na miejscu, wyrabiają się na ręcznych warsztatach tkackich, to jest na krosnach, te wszystkie korty i korciki, których jedenaście sztuk rozmaitego: grubszego i cieńszego gatunku, przedstawia się tak pokaźnie, że wszystko z wystawy pani Korsakowej zaraz w pierwszych dniach rozkupionem zostało i wiele osób, które spóźniły się trochę, już z niczem odejść musiało. Wełna użyta na te wyroby: białe i popielate, lub szarego koloru, wcale farbowaną nie jest, co domowy jej przerób wielce uła-

twia i zapewne daje wykonanym z niej tkaninom ten przymiot, że pełznięciu ani żadnej zmianie koloru w noszeniu nie ulegają, co jest zaletą niemałą. Obok grubych kortów na ubrania męzkie, znajduje się tam trzy sztuki delikatnego, jedwabiem przetykanego korciku i sztuka jeszcze cieńszego, białego, na szlafroczki kobiece lub sukienki dziecinne i dwie kapy białe, poszywane.

— Co za zachód!—zawoła może niejedna gospodyni, przedstawiająca sobie obraz pracowitego tem wszystkiem zajęcia, przecież katalog Wystawy objaśnia, że robotę tkacką wykonywają trzy kobiety na ręcznych krosnach Przychód roczny jest 827 rs., rozchód 357 rs., więc ta domowa fabryka kobieca daje p. Korsakowej rocznie niemal 500 rs. dochodu.

Na dzisiejsze ciężkie dla rolnictwa czasy jest to wśród naszych stosunków wielka już pomoc w gospodarstwie rodziny, jest to już znaczący dochód w budżecie domowym.

Lecz więcej nad to—więcej nad wszelki możliwy zysk pieniężnego zysku, jaki to przykład tej cnoty rozumnej, którą Anglik filozoficznie nazywa: „Self Help“—pomoc własna. My na wyrażenie podobnej myśli, posiadamy aforyzm, wzięty z francuzkiego przysłowia: — „Pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże.“

Jest jeszcze odpowiadające temu i przysłowie drugie, że strzeżonego Pan Bóg strzeże—strzeże domu, który się przed najściem biedy skuteczną pracą obwarowywa — strzeże ogniska rodzinnego, przy którem czuwa matka, leniwie czasu niezasypiająca. Rzymianie, którzy się umieli stać narodem najpotężniejszym, zagarniającym panowanie nad światem, wypisywali na grobowych płytach kobiet swoich te tytuły do dobrej pamięci potomnych: — „Wełnę przędła, domu strzegła.“

Kto obejrzawszy tkaniny domowej fabryki pani Korsakowej, zobaczy z kolei okaz p. Maryi Ochenkowskiej ze Skrzeszewa, Powiat Siedlecki: bardzo piękną portyerę z wełny w domu przędzonej i przez jednę kobietę, na postawie z nici lnianych w zwyczajnych krosnach ręcznych utkaną; kto dalej zobaczy wystawiony przez p. Wandę Skarzyńską bryt materyi z jedwabnej szarpi, w domu uprzędzonej i utkanej—ten nie powie, że sądzi się za surowo i żąda za wiele od kobiety klas wykształconych, na wsi zamieszkałej, gdy się przypomina, że przy dzisiejszych stosunkach ekonomicznych, samodział domowego wyrobu powinien stanowić niepoślednią gałąź gospodarstwa domowego dobrej matki rodziny, dobrej obywatelki.

Ach! jak przerażająco długą jest lista dóbr, wystawionych aa sprzedaż przez Dyrekcyą Towarzystwa Kredytowego!

Wyroby kobiet włościanek z Powiatu Ostrołęckiego, tak zwanych Kurpianek, przedstawiają się tak gustownie w tkaninach wełnianych i w płócienkach kolorowych, że niektóre z nich w sukni dobrze zrobionej nie raziłyby na nikim. Należy się tu wdzięczność księdzu Reichlowi, proboszczowi parafii Kadzidło, że umożliwił ukazanie się ich na wystawie, przedstawiając je sam.

Należy się wyraz takiejsamej wdzięczności tym wszystkim paniom ze dworu—tym paniom dobrej woli obywatelskiej, które podobnie przyłożyły się do wystawienia prac kobiet wiejskich, czyniąc się ich przedstawicielkami. Katalog wymienia ich siedm, a mianowicie: Baftałowska Emilia: wyroby włościanek podolskich z Powiatu Jampolskiego, wsi Klombomek; Cypryńska Marya: wyroby kobiet z powiatu Słuckiego, ze wsi Nowosiółek, z zaścianku Kleciszewo, Kopce, ze dworu Ostatek w gminie Faledowicze; Hoene Joanna: wyroby włościanek ze wsi Kniahinin i Girzydele w okolicach Wilna; Pauling Helena: wyroby włościanek ze wsi Toikfer w Powiecie Dorpackim; hr. Teressa Plater Zyberg z hr. Zamoyskich: wyroby włościanek żmujdzkich ze wsi Kartowiany; hr. Zamoyska Stanisławowa: wyroby włościanek z dóbr Maciejowice, ze wsi Krempy, Koskowo, Polika, Malonówka, Oronne, Podzamcze.

Między okazami pracy kobiet wiejskich odznaczają się szczególną pięknością i wyższym smakiem estetycznym hafty srebrem, złotem i jedwabiami kolorowemi, wykonane na białych delikatnych tkaninach wełnianych przez włościanki ze wsi Klembówka, w Powiecie Jampolskim. Według udzielonych mi objaśnień, tkaniny są własnym wystawczyń wyrobem, tak cienkie, że niemal przezroczyste, wyglądają jak krepa wełniana, koloru kości słoniowej, a razem przedstawia się to oku tak wdzięcznie, że najwytworniejsza pani włożyć to na siebie może i nietylko na suknią powszednią. Ubrapowany też z nich szlafroczek i suknia dowodzą tego. Gdyby nawet ktoś posiadający smak wykształcony dał tu coś wskazówek swoich, nicby to nie ujmowało zasługi, ani pracującym, ani temu kto tu był tym kierownikiem dobrym, lecz przeciwnie rzecz byłaby dla obu stron: tak nauczającej jak przyjmującej naukę, pochwały godną; wytłómaczono mi jednak, że to stare tradycye zetknięce się ze Wschodem, stare tradycye wyniesione z jasyrów tureckich, wniosły do chat podolskich smak ten i naukę haftów nicią srebrną i złotą na tle białem. Razem jest to bardzo piękne i godzi się też wymienić nazwiska tych odznaczających się tkaczyń i hafciarek, a mianowicie: Maryanna Myłynkowa: siedm ręczników; Stefania Myłynkowa: pięć pasów; Myrona Olijnikowa: siedm ręczników.

Między wystawczyniami miasta naszego uderzały publiczność piękne i w znacznej liczbie wystawione próbki koronek ze szkoły pracy kobiecej p. Ludwiki Strońskiej (Ciepła N 12). Ponieważ koronkarstwo wchodzi najzupełniej w zakres tkactwa i jest właściwie tkactwem, tylko już wytwornem, z rzemiosła do kunsztu podniesionem, można się było spodziewać więcej wystawczyń w tym kierunku. Szczególniej spodziewać się było można wystawy szkoły koronkarstwa p. Heleny Gabryelowej, która dla całej tej naszej połaci kraju jest koronkarstwa założycielką i krzewicielką, bo niemal wszystkie osoby dziś koronkarstwu się oddające i nauczające go,—są uczennicami szkoły p. Gabryelowej. Główną może przyczyną, że się u nas przemysł ten tak przyjął i rozwinął jest to, że szkoła jest bezpłatną i że zacna jej przewodniczka kształciła w niej dziewczynki z warszawskich ochronek miejskich. W ten sposób koronkarstwo przeniknęło odrazu wszystkie warstwy ludność miasta naszego i przez ułatwioną naukę rozpowszechniło się po całem kraju. Szkoła piotrkowska z niej wzięła nauczycielkę swą pierwszą, jak również szkoła p. Rudominowej w Powiecie Sandomierskim ztamtąd przez zacną założycielkę swoję, zaczerpnęła naukę.

Jakkolwiek wyrób krawatów przez to tylko z tkactwem się łączy, że materyał, jak na wszelką odzież ludzką, wyjąwszy futra, jest wyrobem tkanym, jednak ze względu, że przemysł to jest u nas względnie nowy i dotąd z towarem wchodowym walczący, chętnie się widziało je na wystawie. Krawaty Czesławy (Pogonowska Marya Nowy Świat N 21), przedstawiały się w wielkim wyborze i bardzo ładnie a fabryka to już mająca znaczenie swoje i w produkcyi krajowej i w pracy kobiecej miasta naszego, bo zatrudnia 20 robotnic, a obraca rocznie kapitałem 10,000 rs.

Wystawił krawaty drugi jeszcze, świeżo założony, więc nic o sobie niedonoszący zakład: „Sophie.“ Dlaczego nie „Zofia?“ — to już zapewne jest kwestyą upodobania do francuzczyzny. Sądzę jednak, że dziś bynajmniej nie popłaca taki szyld francuzki, i może, przeciwnie, czyni wrażenie czegoś, co jest mało prawidłowe, co jest sztuczne. Publiczność chętnie wspomaga rzeczy swojskie i obywatelską jest sprawą bronić się przed przemysłem cudzoziemskim, przed cudzoziemcami, czy cudzoziemkami, które grosz w kraju zebrany z kraju potem wywiozą. Czy tu tak jest—nic o tem nie wiem, i uwagi to są ogólne, które nastręczyły się tylko umysłowi z powodu tej francuzkiej ortografii, z którą się oko spotkało. Zakład „Sophie“ mieści się na Lesznie, N 22.

Bardzo ładnym okazem, znajdującym się w dziale wyrobów, mających związek z tkactwem, jest ekran malowany na ciemnym atłasie w śliczne różnobarwne ptaki, a który wyszedł zpod pędzla pani Bronisławy Poświkowej (Żórawia N 21).

M. Ilnicka.

SONETY DANTEGO

w przekładzie **Felicyana.**

XXIII.

Pątnicy! którzy, dążąc zadumani,
W Krzyża patrzycie lśniący ślad po przedzie,
Chyba że z krańców ziemi Bóg was wiedzie
W zmartwiałej skrusze obojętnych dla niej,

Że wam boleścią serce się nie rani
Ten gród, w łez gorzkich pogrążony biedzie,
Tak witać, jakby senne zkąd gawiedzie,
Nic nie świadome losów jego pani.

Stójcie, na Boga! – w sercu czuję skrycie,
Że zasłyszawszy moich słów gorycze,
Gród nasz współczuciem waszych łez uczcicie.

Bo on utracił swoją Beatryczę,
Ku której chwale, cobądź pieśń wydzwania,
Ma dar koniecznie zmuszać do płakania!

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Były chwile, w których Rębski czuł wyrzuty sumienia, że za prędko, za łatwo przystał na proponowany mu przez Stanisława układ, i nie wiedział, czy jutro rano nie cofnie się, nie wyznaczy Stanisławowi dłuższego czasu, aby namyślił się głębiej i lepiej nad tem, co robi. Ale ostatnie żądanie, nagląca prośba o paszport dała mu wiele do myślenia. A może rzeczywiście było mu potrzeba jechać tak prędko—natychmiast? Odpowiedzialność była za wielka, aby dla jakichkolwiek względów delikatności brać ją na siebie i nazajutrz była to pierwsza sprawa, którą się zajął i którą doprowadził szczęśliwie do skutku. Miał stosunki, był znany ludziom, jako cichy, pracowity człowiek i w parę godzin po południu Stanisław serdecznie uścisnął rękę przyjaciela, otrzymawszy pożądany papier już z wizą konsulatu francuzkiego. Ale teraz właśnie zaczynała się dla niego najtrudniejsza przeprawa—rozstaniez Jakóbem, w którego wiadomość o podróży Stanisława uderzyła jak piorun.

—A to gdzie! a to po co?—zawołał.—Czy to pan mało się już najeździł i czy nie ztamtąd przyszły te wszystkie nizszczęścia? Ale wiem, wiem, co to znaczy—to na ukaranie starszego pana, ale to grzech, i śmiertelny! Dzieciom nie godzi się gniewać na rodziców tak, jak ludziom na Pana Boga.

— I tak bez żadnego pożegnania—dodał z wyrzutem w głosie — tak sobie, jakgdyby ktoś na spacer wyszedł...

— Pożegnałem się... — odparł Stanisław smutnie. — Kiedym rękę ojcowską całował, kiedym usta do tej ręki przyciskał, żegnałem go...

— I z miłością i z uczuciem wielkiem, z którego nie może się wyzuć serce moje, nawet wtedy, gdy jest pełne żalu i goryczy! Był we mnie ten żal, była ciężka, gryząca gorycz, a mimo to w chwili ostatniej coś mną tak targnęło, coś tak jęknęło mi w sercu, żem musiał—musiał tę karzącą mnie rękę ucałować...

— A teraz w świat, jak Ezau wydziedziczony...

— Tylko nie płacz, stary—widzisz, że moje oczy suche... Wyjazd—to przecież nie śmierć; zobaczymy się kiedyś, kiedy się serce we mnie wyburzy i twardszem się stanie, niż teraz jest. Ale dziś jechać mi trzeba—trzeba, i nie zatrzymuj mnie, bo kto wie, coby się tu ze mnie zrobiło? Teraz może właśnie stałbym się graczem, szulerem!

Wzruszenie tkliwe minęło, żal do ojca wybił się znów z głębi serca i, czując to, zawołał żywo. —Nie zatrzymuj mnie, stary, nie zatrzymuj i nie dręcz... Niech się stanie, jak ułożyłem sobie, aby nie było gorzej. Wiem to do siebie, żem słaby i zabezpieczam się przed tem właśnie—przed charakterem moim!

Jakób spojrzał na niego żałośnie. — Niechby już pan jechał, byle nie tam, do tej Francyi, do tego Paryża... To ztamtąd złe przyszło...

— Nie, mój bracie, złe lub dobre jest przedewszystkiem w nas, i to, co się stało, wyszło ze mnie. Ale na uspokojenie twoje powiem ci, że ja naprawdę nie do Francyi jadę. Wszak wiesz, co to jest Alger? Byłem już tam i opowiadałem ci kiedyś, jaka to kraina. Otóż ja tam jadę...

— Jezus, Marya! — krzyknął Jakób — na taki koniec świata, pan się wybiera, gdzie takie pustynie, takie źwierzęta dzikie, ludzie czarni... Może pan jeszcze będzie się tam z Arabami bił?...

— Nie... gdybym się tam kiedy bić miał, to za nich, a nie przeciw nim...

— I z Niewiernymi-by się pan złączył?... Biedaki są, co prawda... Francuziska ich naszli, ale pan Arabem-by został?

Taki smutek, taka rozpacz była w głosie i w spojrzeniu starego sługi, że Stanisław przyciągnął go sobie do piersi, ucałował w głowę i uspakajał, że do takiej ostateczności nigdy nie przyjdzie—że niewiernym nigdy nie będzie. Pokazał mu, że nosi dotąd na piersi medalik częstochowski, od matki mu jeszcze dany, gdy raz pierwszy wyjeżdżał, i prosił, aby mu daremnemi już uwagami nie utrudniał postanowienia, które cofnięte być nie mogło. Wytłómaczył mu też, jak się rozporządził już ze wszystkiem, jak Rębskiemu kancellaryą zdał, sprzęty wszystkie zbył. — Tylko książek trochę zabiorę ztąd ze sobą — dodał i wyjął zaraz z szafy bibliotecznej dzieł kilka, przyjaciół swych starych, jak Jakóbowi je nazwał a było tego tomów kilka: Mickiewicz, poezye Słowackiego, które niegdyś też od matki dostał, gdy skończył lat siedmnaście i na których było kilka wyrazów ręką jej napisanych, a które on ucałował ze wzruszeniem:—Niewiernym pod żadnym względem nigdy, nigdy się nie stanę, dla tej oto dobrej, dla tej ukochanej, która mi tu święte słowa wiary i miłości kreśliła — powtórzył, uspakajając strapionego człowieka, który na jego zachód już podróżny ze łzami w oczach patrzył.

Wybrał z kolei kilka dzieł różnych i na stół odłożył, a potem z sypialnego pokoju jeszcze trochę drobnych przedmiotów tu przyniósł, razem do upakowania szykując. Była tu i fotografia ojca, w którą się wpatrzył smutnym i jakgdyby pełnym wyrzutu wzrokiem.—Nie... takim mocnym może nigdy nie będę — rzekł — takiego szerokiego czoła, tak głęboko osadzonych pod niem oczu nie mam i nigdy mi z nich taka siła wyglądać nie będzie, ale mimo to niewiernym się nie stanę...

Zdawało się, że to zapewnienie dać tu jeszcze potrzebował i potem z pewną żywością poprosił Jakóba, aby mu to wszystko, co na stole zebrane było, pomógł w bibułę poowijać. Ale innych swych rzeczy pakować mu nie dał i próżno biedny stary o to go prosił, próżno go, jak o łaskę, chciał o to w ręce całować. — Czy ja już kiedy panu usłużę, czy mnie pan już żywego na tym świecie zastanie za powrotem z tej drogi swojej? — mówił i do szafy z sukniami Stanisława prawie gwałtem się chciał dobrać, ale ten drogę mu od niej zastąpił. — Nie... nie... z niecierpliwością prawie mówił.—Z tego, co tam jest, nic ze sobą nie zabiorę, bo tłumoków żadnych mieć nie chcę. Do tych książek oto trochę bielizny jeszcze w najmniejszy, jak można, kuferek wrzucę i będzie mi tego dość.

Jakób był jak człowiek zabity. Zawiniątko ze swoich rzeczy, jakotako związał i poszedł na miasto furmanki sobie szukać, bo Stanisław mu powiedział, że stanowczo chce, aby dziś jeszcze i przed jego wyjazdem do Starej Wsi jechał.—Czy się pożegnamy godzinę wcześniej, czy później to już różnica mała—mówił mu przy tym rozkazie.

— Wolę być sam, gdy ten próg przestępować będę — dokończył — wolę być sam. Zamknę za sobą drzwi, klucz stróżowi oddam tak, jak kiedy wyniosą trumnę z takim umarłym, który nie miał nikogo na świecie, i ruszę przed siebie.

— Ale pan takim sierotą nie jesteś!... — krzyknął prawie stary — czy to ojciec tak już pana odepchnął? Chciał tylko, abyś go pan, jak syn ojca przeprosił...

— I zrobiłem to, ale mu z drogi schodzę, bo potrzebnym nie jestem. Zawiódł się na mnie, żem się w niego nie wrodził, i z drogi schodzę...

Jakób rozżalony na Stanisława, poszedł na rynek furmanki sobie szukać. Z miasteczek blizkich Starej Wsi przybywają do Warszawy niemal codzień mieszczanie z warzywem i rozmaitemi produktami gospodarstwa wiejskiego, zabierając chętnie z powrotem podróżnych, za małą opłatą. Stanisław chciał, aby Jakób pocztowym powozem jechał, ale on ruszył na to głową:—Niech marnuje, kiedy już taka jego natura — mruknął sobie—ja przynajmniej oszczędzę mu choć złotówek parę, i Bóg wie w jakiej jeszcze potrzebie znaleźć się kiedy może.

Przytem wolał ze znajomym Przybyszakiem na słomie siedząc, noc przegawędzić, a gdy tamten się zdrzemie, w gwiazdy patrząc, pytać: dla czego to tak ludzie drogi życia sami sobie krzyżują?

Nie wiedział biedak, że dawno przed nim pewien królewicz duński, tosamo zagadnienie przed siebie rzucił i odpowiedzi na nie nie dostał...

Po nim, tak samo, jak po Hamlecie, tysiące ludzi też podobnie dusz swoich pytać się będzie i podobnie, jak on, stary, tylko westchnienie własne w odpowiedzi usłyszy.

Jakób do furmanki swojej stosować się musiał, o piątej po południu wyjechał Wasąg trząsł po warszawskim bruku, a on przygarbił się i głowę w obie ręce wziął, aby nikt nie widział—że płakał. Kapały łzy z oczu starca tak bolesne, jakgdyby własnego syna za sobą zostawiał.

Stanisław znalazł się teraz sam jeden w pomieszkaniu, które nagle wydało mu się pustem, jak po pogrzebie. Ale tu przynajmniej ściany były znajome, tu sprzęty coś przypominały, tu było jeszcze miejsce, które niedawno domem swoim nazywał—lecz jutro?

Przechodził z pokoju do pokoju, nie szukając niczego, bo nic tu już do znalezienia dlań nie było, ale tak tylko... tak! Patrzył, jak na obrazek jakiś i jak na obrazek jakiś wyjrzał potem przez okno na ulicę, a że ta okolica miasta ludna jest zawsze i ruchu pełna, popatrzył też przez chwilę na przesuwające się postacie. Tyle ludzi: bliźnich i ziomków, a on jednak czuł się samotnym!

Mogło tak nie być przecież... on to wiedział, bo sumienia nie zagłuszył sobie sofizmatami i czuł, że wina jest po jego stronie. Jednak gdyby ojciec tak surowym nie był, gdyby był jeszcze ten raz przebaczył!

Ale to jest karą słabych, że ludzie tracą w nich wiarę. A czyż on sam nie lękał się siebie, swojej mizernej natury? Ale jeżeli i teraz jeszcze nie wytrwa—osunie się i padnie, to już nikt nie będzie wiedział o tem i on sam tylko gardzić sobą będzie. Tak tylko on sam... Ślady jego drogi nie wydadzą go nikomu, bo ich nie zostawi za sobą... Gdy jutro nad wieczorem Rębski przyjdzie tu żegnać się z nim i do kolei odprowadzić, stróż tylko odda mu klucze i powie: — Już pojechał...

Teraz tylko nie należało mu tracić energii i nie rozmyślać długo. Ludzie miękkiego serca mogą się przytem tak rozżalić nad sobą, jak rozżalają się nad innymi biedakami, którzy cierpią, a rozczulenie zły to jest przewodnik człowieka w chwilach stanowczych, gdy stoi u dróg życia rozstajnych. Stanisław przeszedł samotne pokoje wśród których rozlegały się tylko jego kroki, wziął kapelusz i paltot, klucz ode drzwi schował do kieszeni i wyszedł na ulicę, kierując się na ulicę Senatorką w stronę kolumny Zygmunta. Oczy jego tak patrzyły na wszystko, jakgdyby chciał to odfotografować sobie i szedł powoli, jak podróżnik, który raz pierwszy gdzieś się znajduje, lub ten, który odjeżdża daleko i myśli, że może nie wróci tu już więcej. U kolumny Zygmunta ogarnęło go pewne wzruszenie, bo przypomniał sobie, jak za pierwszej swej bytności w Warszawie zobaczył ją, trzymając się ręki ojcowskiej, którą ściskał mocno, bojąc się, aby nie zginął wśród tych ludzi idących każdy w swoję stronę. Miał wtedy ósmy rok; teraz, przeciwnie, zginąć chciał—zginąć i już może nie znaleźć się nigdy... nigdy!...

Od Zamku zwrócił się w ulicę Ś-to Jańską. Znał ją lepiej, niż inne takie uliczki poboczne, bo gdy się chciał pomodlić, najczęściej szedł do starej katedry, której uroczystą spokojność lubił i wśród której odnajdywał najlepiej młode usposobienie do modlitwy. Ale teraz minął ją; na przeciwnej stronie, już ku Staremu Miastu, był sklep krawca męzkiego, który zapamiętał, bo jego właściciel, p. Jan Nepomucen Kapral, jak stało wypisane na szyldzie, zwrócił jego uwagę swoją uczciwą i piękną fizyognomią mieszczanina naszego czystej krwi. Stał często w odchylonych drzwiach sklepu i witał się z mnóztwem przechodniów, a czasem rozmawiał z sąsiadem swym przez ulicę, właścicielem wyrobów cynowych, i Stanisław dla typowości swojskiej tych twarzy naszkicował sobie obydwóch: sławetnego Józefa Pochwałę i Jana Nepomucena, którego przodek może rzeczywiście był kiedy kapralem, bo jego potomek miał porządne kapralskie wąsy i śmiało patrzyło mu z piwnych, dużych oczu, po których znać było, że nie spuszczały się łatwo i przed byle kim. Nosił się zwykle szaraczkowo i Stanisław, który to wszystko zapamiętał, skierował się teraz do jego sklepu po takie właśnie ubranie, gdyż tam, gdzie jechał, jego dotychczasowe suknie nie służyłyby dobrze.

Gdy wszedł do sklepu, nizkiego i wązkiego, oświeconego tylko wchodowemi szklannemi drzwiami, którego całą jednę ścianę zajmowała przecież oszklona szafa pełna towaru, właściciel, który dopiero na dźwięk dzwonka otwierających się drzwi z dalszych części mieszkania tu wyszedł, zapytał go z wielkiem uszanowaniem, ale i podziwieniem pewnem: — Czego pan dobrodziej sobie życzy?

Usłyszawszy odpowiedź, jeszcze nie dowierzał, aby ten elegancki młody pan u niego ubrania sobie szukał, i zapytał na jaką miarę?

— Na moję — odparł Stanisław i wtedy Jan Nepomucen przyjrzał mu się raz jeszcze: jemu i jego wytwornem sukniom, jego kapeluszowi paryzkiemu, który Stanisław na stoliczku pod lustrem położył.—A czy ja będę mógł służyć czemś, co-by panu dobrodziejowi przypadało? — zapytał i obiegł raz jeszcze wzrokiem całą postać od pięknej, szlachetnej głowy młodzieńca, do jego białych, delikatnych rąk, z długiemi palcami, które Stanisław też z rękawiczek już uwolnił, na których zatrzymało się spojrzenie doświadczonego człowieka.—Ja, panie dobrodzieju, to sobie taki zwyczajnie krawiec staroświecki; syn po ojcu handelek mój prowadzę, ale dla prostszego ludku niż pan dobrodziej, dla niebogatych, dla takich, naprzykład, jak ja, co pomiernym stanikiem żyją.

— Ja nie jestem bogaty—odparł Stanisław.—Na wieś wyjeżdżam i potrzeba mi sukien niewytwornych, tylko dobrze uszytych i z mocnego materyału.

— Takiemi to będę mógł panu dobrodziejowi służyć i nie powstydzę się za nie—rzekł imci pan Kapral z dumą uczciwą sumiennego człowieka i prędko dobrał Stanisławowi to, czego żądał; ale ten pomyślał tymczasem, że i odświętna jakaś suknia potrzebną mu będzie: jakaś bekieszka, czamarka granatowa, a pan majster podniósł głowę.—O!... tu mam coś, co pokazać można i na oko już widzę, że w tem będzie panu dobrodziejowi co się zowie pięknie. Właśnie, właśnie na taki przystojny wzrost... Pan dobrodziej nie ułamek i aż się rozświeciło w sklepie, gdy pan wszedł.. Ja-bo jestem krawiec amator, krawiec

z rodu krawców i miło mi takiego pięknego pana ubrać...

— Tylko pan dobrodziej trochę mizerny, trochę pobladły i szczupły, zmęczony....

— Pewno nad książką? — dodał, patrząc na Stanisława jakgdyby rodzicielskim wzrokiem. Nie mógł się pozbyć pierwszego wrażenia, że ten elegancki pan, nie u niego powinien sobie suknie kupować i czuł, że tu coś jest, jak osunięcie się z wyższego stopnia na niższy. Przytem, choć nie Fidyasz, tylko krawiec, rozmiłował się w kształtnej postaci Stanisława i z zadowoleniem myślał, jak jego granatowa czamarka z cienkiego jak sajeta sukna, będzie pięknie wyglądać na tej wysmukłej postaci młodzieńca.

—Jak ulał—zawołał też, pychą uniesiony, gdy ją na Stanisławie przymierzył, ale potem zaczął głową kręcić.—Nie—rzekł—jest feler—wygląda jakgdybyś się pan dobrodziej przygarbił, trzeba też w kołnierzu podciąć i do góry wziąć. Tak... tak... podciąć i do góry wziąć, a dopiero będzie, jak się należy.

Stanisław już chciał na *feler* nie zważać, ale od czegóż Jan Nepomucen był majstrem i starszym w swoim cechu?—Kiedy panu dobrodziejowi pilno, kiedy pan dobrodziej jutro tak rano wyjeżdża, to na poczekaniu będzie! — zawołał i, poprawki na Stanisławie zaznaczywszy, wyniósł coprędzej suknią do pracowni, która była w tyle sklepu—długa, sklepiona komnata, z wysokiem, w okrągły pół łuk u góry zatoczonem oknem. Znać było styl stary, bodaj czy nie z saskich czasów, a ściany malowane na blado-zielony kolor, rozszerzały się, ku podwórku się wyciągając; a że słońce, które już na zachód schodziło, biło zwysoka w okno, panowała tu jasność wesoła, wśród której wszystko wesołem i miłem się wydawało. Dwóch czeladników, młodych chłopców, z zakręconemi w górę wąsikami, szyło pod oknem, a u stołu, który stał na środku, siedziała młoda jasnowłosa dziewczyna, drobnej, okrągłej twarzy białej i rumianej jak jabłuszko. Ta także miała igłę w ręku i szyła pracowicie; w klatce kanarek wyśpiewywał, jakgdyby szedł z kimś w zawody, a Stanisławowi to domowe wnętrze pracowitych ludzi okazało się, a raczej mignęło przed oczyma przy drzwi otwarciu i westchnął. Była tu praca mozolna i żmudna, z perspektywą jednostajnego, a może nieraz kłopotliwego, istnienia, w którem nie było wiele miejsca na przyjemności, na święto życia, ale dom to był zawsze, rodzina: były cztery kąty jakieś, które mieszkający tu ludzie nazywali swojemi: była więc pierwsza, najważniejsza podstawa szczęścia i coś swojego, coś własnego...

On nic takiego nie miał, nic nie posiadał, prócz uczucia straty po tem, co mu przepadło.

Pan Jan Kapral wrócił niedługo i uważał sobie za obowiązek zabawiać Stanisława, jakgdyby to był gość jego. Był też nim poniekąd, bo gdy ten brał za klamkę, aby wrócić na oznaczoną godzinę, zatrzymał go, rzeczywiście przez gościnność. — A niech-że pan dobrodziej odpocznie—rzekł—siądzie sobie wygodnie, na kanapie. Widać, że się pan w drogę wybiera, bo znać, że zmęczony..

— O! tak — odparł Stanisław — zmęczony jestem. Miałem robotę ważną i ciężką...

— A to tak, panie, w życiu—westchnął gospodarz—bez roboty źle, lecz przyjdzie nieraz taka która człowieka zmorduje, teraz zwłaszcza, gdy czasy są nienajlepsze....

Że był stałym i pilnym czytelnikiem „Kuryera,“ więc przeszedł prędko na politykę. Interesował go właśnie w tych czasach sułtan turecki, więc zagaił o nim rozmowę, ale Stanisław mu przerwał.

Uczciwa prostota tego człowieka pociągała go sympatycznie i przyszło mu też do głowy, czyby nie zapytać go o radę w rzeczach, których załatwienie trudniejszem mu było, niż to sobie wystawiał, gdy w uniesieniu gorączkowem mówił wczoraj:—Pójdę... zrobię... kupię... Teraz, gdy do wykonania tego przyszło, spostrzegł, że jak te suknie oto, które dopasowywać było trzeba, nic w życiu na pogotowiu nie leży — nie czeka na nas. Kto nigdy sam sobie nie służył, ani wie naprzód, ile-to zachodu i trudu mieści się w tych drobnych sprawach, niby nic nieznaczących, które zdajemy na innych, a które zblizka przedstawiały mu się jako trudności, ciężkie do przebycia, bo nie wiedział, jak się do nich wziąć. Postanowił też zwrócić się do tego dobrego człowieka i powiedzieć mu otwarcie, że, jak potrzebuje grubej sukni, tak potrzebuje grubej koszuli, grubego buta — potrzebuje konia i wózka takiego, jakim jeżdżą ludzie niebogaci, lecz obrócić się za tem nie umie, więc o radę go prosi. Są fiziognomie budzące ufność, i tu tak było. Stanisław szczerze się przyznał, że nie wie jak sobie radzić, a czasu wiele nie ma i boi się omyłek.

— Spotkało pana nieszczęście—rzekł uczciwy człowiek z litością pewną.—Domyślam się tego...

— Ściągnąłem je na siebie—odparł Stanisław, dodając, że chce się teraz z niego ratować pracą. W mieście byłoby to rzeczą trudniejszą, bo ze wsi jest i ciągną go tam nawyknienia dawne. Ma tyle grosza, że może kupić sobie kawałek gruntu i pracować na nim. To trud zdrowy, ożywiające łono ziemi jest jak pierś matki i karmi tego, kto się do niego przytuli.—Jak zrzucę tę oto suknię, a oblekę się w grubszą, mocniejszą, tak uczynię ze wszystkiem—dodał.

— I wyrobię się z biedy mojej... wyrobię, innym człowiekiem się stanę — mówił wzruszony już sam do siebie, a słuchający go człowiek zapytał: czy niéma rodziny, rodziców? On dotknięty, chciał prędko odpowiedzieć, że nie—że nie ma nikogo, ale jakaś zabobonna trwoga zamknęła mu usta.—Człowiek, który już dzieckiem nie jest, musi stać o własnej sile—zakończył krótko.

— Niech Pan Bóg pomaga—rzekł Jan Nepomucen Kapral. Zdjął z gwoździa słomiany kapelusz i zawoławszy na córkę, aby przyszła sklepu pilnować, otworzył drzwi przed Stanisławem:

— Chodźmy, panie dobrodzieju—rzekł—już ja pana dobrze poprowadzę.

— A nieszpory, tatuniu?—zawołała dziewczyna—majowe nieszpory... Niechże tatunio wróci...

— Nie wiem czy zdążę... ale słuchaj no i pamiętaj to dobrze, że Pan Bóg kazał najpierw bliźnim swoim pomagać, a potem dopiero modlić się.

— Idźmy, panie dobrodzieju—zakończył—pójdziemy najpierw na Kanonią a potem w Stare-Miasto.

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Anglii.

D. 25 Stycznia.

(Dokończenie.)

Przeniesienie zwłok Napoleon III i jego syna z Chiselhurst, gdzie były złożone w katolickim kościele Panny Maryi, do grobowca, wzniesionego przez cesarzową Eugenią w Farnborough, budziło tu wielkie zajęcie, zwłaszcza w sferach towarzystw wyższych.

Wielkie przewroty losu, wielkie upadki są zawsze otoczone uczuciem litości ludzkiej, i ta okrutna ironia rzeczy świata, aby prochy Bonapartych, czy jeńców, czy tułaczy, schronienia szukających, znajdowały zawsze grób na ziemi angielskiej, mimowoli wzruszała. Przytem nietylko książę cesarski, o którym mówiono, że był narzeczonym księżniczki Beatryczy, lubionym, tu był bardzo, ale i cesarzową Eugenią otacza wielkie współczucie wszystkich warstw ludności. Nieszczęśliwa, ma też licznych obrońców między Anglikami ze świata dyplomatycznego, którzy, przebywając w Paryżu za czasów jej wielkości i piękności, mogli znać jej życie i wiedzieć o nim więcej, niż owa gawiedź pospolita, która rozpuszczała złośliwe potwarze. Kto sobie przypomni, jakie wstrętne kłamstwa rzucano kiedyś na głowę nieszczęśliwej Maryi-Antoniny, ten uwierzy zaprzeczeniom, niemającym zresztą w sobie żadnego osobistego interessu, a które wywołuje z ust ludzi uczciwych tylko szlachetne uczucie sprawiedliwości. Jędze gilotyny szły niegdyś dalej w swoich ohydnych oskarżeniach, bo czasy były dziksze, okrutniejsze; przecież i teraz partya zowiąca się republikańską czerniła cesarzowę może z wyrachowaniem, aby nie stała się popularną, nie była kochaną.

W Anglii używa ona i używała zawsze wielkiej sympatyi i szacunku, którego przykład dała królowa Wiktorya, dostatecznie na te rzeczy surowa. W każdym razie jest to dziś wdowa i matka nieszczęśliwa, wygnanka i kobieta samotna, której ze wszystkich skarbów świata, jakie posiadała w mierze pełnej, zostały jedynie dwie trumny—dwie garści popiołu!

Trumny, zanim zostały ruszone z kościoła w Chiselhurst, były tam wystawione na widok publiczny. Stały razem, jedna obok drugiej, proch ojca i proch syna, a tło tworzyły ściany i podłoga kaplicy żałobnej, zawieszone i zasłane literalnie wieńcami, wśród których jaśniał wieniec królowej, księcia Walii, dalej wieńce całej angielskiej rodziny królewskiej. Trumna cesarza była okryta fioletowym całunem, na którym błyszczał bogato wyhaftowany krzyż, francuzka korona cesarska i cyfra N—dar i praca własnoręczna księżny de Cambacérès. Królowa Wiktorya przysłała na nią wieniec laurowy, związany białą wstążką, przy której była karta pergaminowa z własnoręcznym napisem Wiktoryi: „Hommage d'affection et de respect de la part de Victoria R. I.“

Na drugim, takimsamym, wieńcu laurowym, przeznaczonym na trumnę księcia cesarskiego, napis brzmiał: „Hommage d'affection et d'amitie sincère de la part de Victoria R I.“

O ósmej godzinie rano monsignor Goddart odprawił cichą mszę żałobną i odśpiewał rekwie; o godzinie 10-ej przybyły na cmentarz dwie lawety dział angielskiej artyleryi konnej i tłum wielki ludu otoczył kościół, jakkolwiek powietrze było zimne i wilgotne. O kwadrans na jedenastą wyniesiono z kościoła trumny, każda pokryta trójkolorową chorągwią Francyi, z wieńcem fiołków i kwiecia białych laurów i umieszczono je na oczekujących lawetach. Oddawał je młody książę Bassano i Pietri, reprezentując cesarzową Eugenią. Przewiezienie na stacyą drogi żelaznej nie trwało dłużej nad pół godziny i nieco popierwszej z południa pociąg stanął w Farnborough, trumny zostały przeniesione znów na lawety i eskortowane przez całą bateryą artyleryi konnej, którą dowodził porucznik Paget. U bram obmurowanej i poświęconej przestrzeni wśród której wznosi się mauzoleum, przyjęło trumny duchowieństwo i wśród uroczystego śpiewu „Salve Regina“ ustawiono je na dwóch sarkofagach z białego marmuru z cesarskiemi orłami Francyi i w tej chwili u ołtarza żałobnej świątyni zaczęła się wielka msza z uroczystą, wspaniałą muzyką i śpiewem.

Przytomnymi byli wśród licznie zebranej publiczności: książę Bassano, Lucyan Bonaparte i inni znakomitsi Bonapartyści, oraz wyżsi angielscy officerowie artyleryi: generał-major sir Edward Wood, generał-major sir Duncan Drury-Love, generał James Biggs, wielki koniuszy dworu i znaczna liczba arystokracyi angielskiej i francuzkiej. Na sarkofagu cesarza, stojącym po prawej stronie, wyryty jest złotem napis: „Napoleon III R. I. P.“ Na przeciwko, po lewej stronie, zupełnie taki sam sarkofag z białego marmuru nosi napis: „Napoléon, Prince Impérial, né a Paris 16 Mars 1856, mort en soldat a Itrotiozy, Afrique Australe, 1 Juin 1879 — R. J. P.“ Wiele przepięknych wieńcy i cesarskich koron z kwiecia fijołków, konwalii, białych róż, białych lilii od wielkich pań z arystokracyi angielskiej, a pomiędzy innemi od lady baronowej Burdett Coutts, zaściełało stopnie sarkofagów. Były też i z Francyi, z Włoch: od margrabiego Lavalette, od księcia i księżny Padwy. Był jeden z nieśmiertelników z podpisem francuzkim: od starego wiernego żołnierza....

Straż honorową spełniali officerowie angielskiej artyleryi konnej.

Na frontonie muzeleum, który jest trzymany

w pięknym, poważnym stylu greckim, powinienby stać napis:—Tak się kończy wielkość świata...

Z Paryża piszą tu, że Meissonier, który był uległ chorobie malarzy, przeszkadzającej w malowaniu: częściowemu paraliżowi prawej dłoni, już przyszedł do zdrowia, i wykończył wielki obraz farbami wodnemi, przedstawiający scenę wojenną z czasów Pierwszego Cesarstwa i wykończa też w tym przedmiocie obraz olejny, oba zamówione do Anglii, a które mają być, jako dar od margrabiny Lansdowne, ofiarowane cesarzowej Eugenii.

Cesarzowa zabroniła ogłoszenia listów Napoleona III, pisanych do mamki jego, M-me Cornu, gdy był jeszcze tylko Ludwikiem Napoleonem Bonaparte. Ponieważ cesarzowa posiada nad niemi prawo, dane jej przez ostatnią wolę M-me Cornu, nie będą one mogły być wydane za jej życia.

Komitet, którego zadaniem jest uporządkowanie i rozmieszczenie w Bethnal Green Musaeum jubileuszowych darów otrzymanych przez królową Wiktoryą od narodu i przyjaznych jej monarchów, zajął się i kwestyą najlepszego użytkowania pieniędzy, złożonych królowej przez kobiety angielskie z myślą, aby użyła ich na cel pamiątkowy według chęci własnej. Postanowiono też, za jej wskazaniem, obrócić je na wzniesienie zakładu pilnowaczek chorych: „Nurses Institution“ gdzieby kobiety oddające się tej miłosiernej posłudze bliźniego kształciły się odpowiednio i gdzieby publiczność w razie potrzeby znaleźć je mogła. Otóż obradującym nad statutem zakładu przedstawiła się z kolei myśl: jak zabezpieczyć los tych kobiet, poświęcanych dobru ogólnemu, gdy zczasem przyjdzie na nie starość, zmęczenie lub choroba chroniczna? Takich pilnowaczek jest w Anglii 25.000 że przecież, wyjąwszy stosunkowo małej liczby dyakonis, nie tworzą one tak, jak katolickie siostry miłosierdzia, zgromadzenia, i nie mają domów zakonnych, nie mają też i stałego, pewnego schronienia na wyżej przytoczone wypadki. Schronienie takie, wzniesione obok „Nurses Institution“ byłoby i wielką potrzebą i czynem sprawiedliwości; przecież komitet oświadczył, że potrzebuje posiadać co najmniej 20.000 funtów, aby mógł na tej podstawie nakreślić jakiś plan narodowej emerytury i przytułku dla sędziwych. Summa to jest nawet na bogatą Anglią znaczna, przecież znalazła się niemal natychmiast: czterech potentatów londyńskiej City, członków korporacyi handlowej: Gibbs, Hambro, Morgan i Rotshild złożyli się na nią, dając każdy po 5,000 funt. Komitet ogłosił też obok odezwy o dalsze składki, postanowienie, że w połączeniu z „Nurses Institution“ wzniesionym zostanie Dom Schronienia i założoną będzie instytucya dożywotniego wsparcia dla emerytek w zawodzie miłosiernej pracy pilnowania chorych i obsługiwania szpitali, oraz lazaretów wojskowych. Zgłosiło się niemal natychmiast 1.500 kobiet, mających prawo do tego grosza dobrze zasłużonych.

W zakresie sztuki publiczność angielska zajmuje się wielce obrazem swego najwyżej cenionego artysty Almy Tademmy. Obraz ma być, według teraźniejszej mody, płótnem ogromnych rozmiarów. Tytuł jego jest: „Róże Heliogabala“, a przedmiotem uczta w wielkiem marmurowem przedsionku pałacu Imperatorów rzymskich. Obraz, malowany dla londyńskiej „Royal Academy“, jest już na ukończeniu, wszystkie postacie są w pół naturalnej wielkości.

Do rzeczy drukowanych poważniejszego znaczenia i ogólnego interessu zaliczyć tu należy świeżo wyszłą książkę: „Bulgaria, Past and Present, Historical, and Descriptive.“ Autor jej, James Samuelson, jest podróżnikiem wyższego polotu myśli i utalentowanym, jako pisarz. Publikacyą, budzącą tu również żywy interes, jest opis stron także dalekich: „The English in West Indies, or the Bow of Ulisses“ (Anglicy w Indyach Zachodnich, albo Łuk Ulissesa). James Froude, który to pisał, zna wybornie miejscowe stosunki i dzieło jego jest też bardzo poczytnem, zwłaszcza w świecie, który się zajmuje ważną dla Anglii sprawą jej kolonii azyatyckich.

Znana firma londyńskiego księgarza Bentley'a, rozpoczęła wydawanie zeszytami życiorysów współczesnych ludzi: „Men and Women of the Day.“ Każdy zeszyt zawierać ich będzie trzy: sylwetki, jak się wyraża prospekt, do których dołączone będą pamiętniki, gdzie istnieją, lub listy. Treścią pierwszego numeru będzie: Lord Hartington, miss Mary Anderson i kardynał Newman.

Utworów lekkiej literatury, zwłaszcza powieści, wychodzi tu liczba przeogromna. Pisane z większym, mniejszym talentem, są przecież wszystkie wogóle swoim uczciwe, szanują prawa moralności i nie brudzą wyobraźni czytelnika tak, jak francuzkie książki w tym rodzaju: ztąd ich poczytność ogromna, niezamykająca się w obrębie ich kraju, bo tłómaczy się wielka ich liczba na wszystkie języki świata, co jest rzeczą pocieszającą. Naprzykład u was zastąpiły one przekłady z francuzkiego, a jakkolwiek są tam niewątpliwie wysokie talenta, ale rzeczy tworzone wśród tak zepsutego społeczeństwa muszą być zawsze brzydkie i psujące.

Ale wdaję się w rzecz już nie moję, więc przepraszam i składam pióro...

F.

KRAJ ASZANTYÓW.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Znajduje się tu jeszcze jeden ciekawy okaz roślinny: drzewo podobne z pozoru do naszego europejskiego dębu, wydające roślinne masło. Owoc tego drzewa podobnym jest do małych kasztanów, z wyjątkiem tylko ich kolczastego zielonego okrycia. Jak kasztan, składa się on z łupiny i jądra. Krajowcy owoce te zbierają, po wyłuskaniu gniotą, i otrzymaną ztąd ciastowatą massę rzucają do kotla napełnionego gotującą się wodą. Skoro tłuszcz zacznie wypływać na powierzchnią, zbierają go, a po zastygnięciu urabiają, jak masło, w osełki i owijają w liście. Masło to daje się przechowywać bardzo długo bez zmiany smaku. Produkt to nader cenny, a otrzymanie go nie wymaga wielkiego trudu, ani zachodu.

Roślinne to masło nie daje się równać z europejskiem, jednakże w Aszantyi, gdzie podróżnik nie może być wybrednym, masło to jest smaczną przyprawą do bananów, i różnych bulw jadalnych stanowiących w Aszantyi główne pożywienie.

Zwierzyny wszędzie obfitość wielka. Naturalista miałby tu obszerne pole do studyów, nietylko nad źwierzętami ssącemi, lecz znalazłby również rozliczne gatunki ptaków najcudniejszego upierzenia. O płazach już nie wspominam, tych bowiem różnorodne odmiany otyle są liczne, oile nieprzyjemne.

O pięćdziesiąt kilometrów na południe od miasta Kumassi znajduje się jezioro Bossomczne powierzchni 25 do 28 mil angielskich, przedmiot czci ludności miejscowej, dlatego może, iż daje im obfity połów. Ryby wydobyte z wody na brzegu jeziora zaraz sprawiają i wędzą, a następnie zawinięte w liście palmowe rozsyłają po całej Aszantyi. Handel ten Aszanci prowadzą nawet z niektóremi prowincyami Dahomeju, najbliżej położonemi.

Trzeba też wspomnieć tu jeszcze o dwóch głównych źródłach bogactwa dla Aszantyów; są niemi orzechy palmowe „calla“ i pewna odmiana drzewa bananowego. Orzech palmowy—w języku miejscowym *Besse*—jest barwy czerwonawej, podobny również, jak i orzechy wydające masło, do małych kasztanów. W torebkach, wielkości ogórka, znajduje się ich po ośm do dziesięciu sztuk. Drzewo, które je wydaje, rośnie w miejscach bardzo wilgotnych, a nawet bagnistych, jeżeli zaś chce się je sadzić na innym gruncie, to potrzebują być bardzo podlewane. Aszantyowie prowadzą temi orzechami wielki handel. Po zerwaniu i wydobyciu z zewnętrznej torebki, zawijają je w grube, duże liście, aby zachowały się, oile tylko można, w jaknajświeższym stanie, i wyprawiają do Salagi, gdzie rozkupują je i rozwożą karawany po całej Afryce. Orzech „besse,“ ma własność, podobnie jak koka peruwiańska, dodawania sił żującemu go; używanym też bywa przez podróżników, którzy przy jego pomocy obywać się mogą czas długi bez jedzenia i picia.

Drzewo bananowe, niewymagające żadnego pielęgnowania, dostarcza w każdym czasie Aszantyom obfitego, zdrowego i wybornego pożywienia. Owoc jego duży, spożywa się gotowany, lub pieczony. Liście posiadają szczególną własność odpędzania swym zapachem szczurów i dlatego używają ich do obwijania artykułów żywności; po spaleniu obierzyn owocu, otrzymuje się z popiołu potaż, służący krajowcom do wyrabiania doskonałego mydła.

Do przedmiotów handlu należy jeszcze u Aszantyów mięso wołowe i baranie, pocięte na kawałki, jak również mięso dzików i danieli, kurczęta, małpy, banany, trzcina cukrowa, wiele roślin warzywnych, a pośród nich jedna szczególniej, smakiem przypominająca szparagi. Dalej idzie pieprz, masło roślinne, pomarańcze, ananasy, gojawy, papayasy (rodzaj melonków małych), cytryny i wiele innych owoców, ryby suszone i solone, wielkie ślimaki, wędzone i przylepiane rzędami na deseczkach, wino palmowe, fajki, sandały, naczynia wyrabiane z tykw i t. d.

Aszanci oprócz patatów nic więcej nie uprawiają. Sadzą je zawsze w końcu Grudnia a zbierają w pierwszych dniach Września; jest to jedyna uprawa rolna, prowadzona systematycznie i kunsztownie. Wokoło pola zasadzonego patatami, biegnie szeroka ulica, a w umyślnie wystawionej chacie mieszka niewolnik z rodziną, obowiązany strzedz całej plantacyi od jakiejkolwiekbądź szkody. Wszystkie zaś inne wymienione owoce i produkta roślinne, nie potrzebują tam wcale pomocy ludzkiej; obradzają się dziko w wielkiej obfitości. Pomarańcze są ogromne, a smak ich wyśmienity. Ananasy i inne, najwytworniejsze owoce sprzedają się po cenach niezmiernie nizkich.

Język Aszantyów jest tem wśród dyalektów murzyńskich, czem był niegdyś dyalekt ateński w Grecyi. Łagodne jego brzmienie miłe jest dla ucha, wskutek wielkiej ilości samogłosek. Muzyka dzikich ludów Afryki nie daje się, naturalnie, ocenić według zwykłych prawideł harmonii; jednakże melodye Aszantyów są dosyć przyjemne i żywe. Instrumenta ich muzyczne, wzięte oddzielnie, nie wydają zbyt dźwięcznych tonów, jednakże, gdy grają w chórze, brzmią wcale przyjemnie. Flet ich, jest to długa, wydrążona trzcina z trzema otworkami u dołu, jeżeli przecież gra ich razem kilka, grający umieją stopniować tony w sposób dosyć miły dla ucha.

Chcieć przekonać Murzyna, iż dziś nie gra tegosamego, co grał wczoraj, jest rzeczą zupełnie niemożliwą; odpowie ci stereotypowo: „Uderzam tęsamą strunę, zatem tensam dźwięk wydawać musi“

Senko jest ich ulubionym instrumentem muzycznym; kształtu wązkiego, z dętego drzewa, obciągnęty skórą aligatora, opatrzony jest na jednym końcu podstawką, od której idzie ośm strun z włókien drzewa zwanego *Euta*. Struny te łączą się przy długiej szyjce, opatrzonej głębokiemi nacięciami, w które wprowadzają struny dla zniżenia lub podniesienia tonu według potrzeby.

Zpomiędzy wszystkich ich instrumentów muzycznych róg wydaje najgłośniejsze tony. Zwykle jest wielki, wykonany z kła słonia, dźwięki jego są wojownicze i poważne. Róg wodza każdego plemienia, ma swój dźwięk właściwy, odrębny, który wojownicy z wielkiej nawet odległości doskonale rozpoznać umieją.

Umponkona jest to rodzaj bębenka, wydający brzmienie po uderzeniu weń wielkim palcem. Inne instrumenta muzyczne zaledwie zasługują na to miano; są to bębny, gongi, kastaniety, a niekiedy nawet i stare rondle. Gongi są z dętego żelaza, z żelaznemi również pałeczkami, kastaniety także żelazne.

Wymienić wszystkie przedmioty czci Aszantyów i ich bożyszcza, fetysze, amulety, talizmą-

ny,—byłoby to wyliczyć szereg mniejwięcej dziko brzmiących wyrazów, a jest ich, co najmniej, ze dwieście lub trzysta. Największa część bałwanów zachowywaną bywa po domach dla odpędzenia choroby, oddalenia jadowitych wężów, a szczególniej jako obrona przeciwko skutkom trucizny; tych jest kilkanaście, a cześć im oddawana wyrównywa obawie trucizny. Kosmogonia Aszantyów sama uznaje ich niższość od Europejczyków:

Na początku świata Bóg stworzył trzech białych, trzech czarnych mężów i równą ilość kobiet. Aby w przyszłości nie mieli prawa wyrzekać na los swój w życiu, dany im został wybór złego i dobrego, i położył oto Bóg na ziemi dużą tykwę oraz kawałek zapieczętowanego papieru. Bóg kazał czarnym wybierać najpierw. Czarni pochwycili tykwę, sądząc, iż zawiera w sobie skarby najdroższe, lecz po otwarciu jej ujrzeli tylko kawałek złota, kawałek żelaza i okruchy innych metalów, których użytku nie znali.

Biali po otworzeniu zapieczętowanego papieru dowiedzieli się rozlicznych mądrości. Bóg Czarnych pozostawił w lesie, a Białych wywiódł na brzeg morski, (gdyż działo się to w Afryce), i nauczył ich zbudować okręt, który ich zawiózł w inne kraje, zkąd powrócili po długim przeciągu czasu z rozlicznemi towarami dla handlowania z Czarnymi. Tak więc Czarni mogli być wyższym od białych narodem, gdyż Bóg dał im pierwszeństwo w wyborze,—cóż kiedy tykwę wybrali!

Jakkolwiek niektórzy podróżnicy utrzymują, że Murzyni tracą tylko takich winowajców, na których zebrany sąd wyda wyrok śmierci, nie jest to jednak prawdą i na nieszczęście popełniają się dzikie okrucieństwa, tak u Aszantyów, jak i wśród mieszkańców Dahomeju. Dla błahych częstokroć powodów odbiera się tam życie człowiekowi; dosyć powiedzieć, iż za rozlanie oliwy na ulicy głowa przestępcy spaść powinna w temsamem miejscu; stłuczenie jajka taksamo bywa karanem.

Nie wolno na ulicy palić fajki, która byłaby pochodzenia europejskiego, ani też mieć jej przy sobie. Nie wolno wcale świstać. Nie wolno nosić ładunków pokrytych gałęziami palmowemi. Za wszelkie tego rodzaju przekroczenia prawo karze tam śmiercią.

Jak w każdym innym kraju, zdarza się też i w Aszantyi, że sprawiedliwość znajdzie się czasem w kłopocie co do wydania wyroku zpowodu braku dowodów. Wtedy uciekają się do czarów. Obwiniony składa przysięgę, iż jest niewinnym—czemu oskarżyciel również pod przysięgą zaprzecza. Następuje próba. Obwinionemu dają kawałek kory drzewa *odum*, którą musi żuć czas jakiś, poczem wypija znaczną ilość wody; jeżeli jej napowrót nie odda, uznają go niewinnym. Oskarżyciel, okrzyknięty natychmiast jako nikczemny oszczerca, zostaje więzionym i niezadługo śmierć ponosi. Niekiedy kat wykonywający wyrok bywa dość zręcznym i głowa delinkwenta spada od jednego cięcia szerokiego noża; ale czasem, gdy spełnienie tego aktu powierzą niewprawnemu katowi, ten bez wielkich ceremonii zwyczajnym nożem odrzyna głowę, a to trwa zawsze kilka minut! Śmierć za morderstwo zadawana jest okrutnie, bo poprzedzają ją tortury, trwające dzień cały, i przechodzą okrucieństwem swem wszystko, cokolwiek wyobrazić sobie można.

Są też i ofiary zpowodu pewnych uroczystości, podczas których Aszanci mordują większą lub mniejszą ilość ludzi. Zwykle są to jeńcy wojenni; w braku tych przecież, bierze się pierwszych lepszych jakich mieć można.

Król Osai-Tutu-Kuannina powiedział raz delegatowi angielskiemu w Kumassi, gdy mu ten wyrzucał wymordowanie z zimną krwią 10,000 niewolników:

— Walczyłem z wrogiem moim Denkera, zabrałem mu złoto i przyprowadziłem do Kumassi dwadzieścia tysięcy jeńców. Niektórzy z nich nic nie byli warci, i obmyłem też tron mój w ich krwi; silnych sprzedałem, lub darowałem mym wodzom. Cóż miałem innego uczynić?... Gdybym ich nie zabił, rozwielmożniliby się w mojem państwie i wytępiliby mój naród.

III.

Podróżnik francuzki, Bonnat, który przebył lat kilka w niewoli u Aszantyów, był z urodzenia wieśniakiem i posiadał też bardzo niewielkie, początkowe prawie, wykształcenie. Upodobanie jego do podróży objawiło się nagle, gdy kapitan Magnan, wraz z byłym porucznikiem armii francuzkiej Karolem Gerard przedsięwzięli wyprawę naukową nad Niger na dwumasztowcu *Emma* wspaniałomyślnie im pożyczonym przez Alexandra Dumasa ojca. Pierwsze kroki na tem polu młodego podróżnika nie były szczęśliwe; zaledwie bowiem statek wypłynął z portu, gwałtowna burza rzuciła go napowrót na wybrzeża Francyi i oprócz dwóch ludzi, którzy utonęli, pasażerowie i majtkowie wpław wydostali się na ląd. Bonnat pomimo to nie wyrzekł się pierwotnego zamiaru odbycia dalekiej podróży. Skoro się też dowiedział, iż Karol Gerard na własną rękę organizuje znowu wyprawę, która się tak niepowiodła kapitanowi Magnan—poprosił go o przyjęcie w poczet uczestników podróży i popłynął do Gwinei.

I tej wyprawy wynik był nieszczęśliwy. Karol Gerard, pokonany przez zabójczy podzwrotnikowy klimat, pozostawił całą załogę bez przewodnika przy ujściach Nigru. Załoga powróciła do kraju na rozmaitych okrętach, oprócz Bonnat'a, który powziął bohaterskie postanowienie prowadzenia dalej rozpoczętej podróży. Posiadał trochę towarów, zamierzył tedy zawiązać z Murzynami stosunki handlowe i ruszył śmiało w głąb Złotego Wybrzeża. Z początku powodziło mu się wcale nieźle i cieszył się już, iż jest na drodze do fortuny, gdy Aszanci napadli na tę stronę kraju, gdzie właśnie znajdowała się założona przez niego osada, spalili dom, zrabowali co było do zrabowania, i jego samego uprowadzili w niewolę.

Po długim, uciążliwym pochodzie, podczas którego znosił rozliczne udręczenia, stanął pod murami stolicy państwa Aszantyów, Kumassi. Tu oznajmiono mu, iż jest przeznaczonym do uświetnienia tryumfalnego wejścia do miasta po powrocie wojsk zwycięzkich. Trudno opisać straszne prześladowania i znęcania się dozorców nad nieszczęśliwym jeńcem. Nieprzyzwyczajonemu jeszcze do grubej strawy Murzynów, kazano jeść obrzydłą mieszaninę zwaną przez nich *fu-fu* co z początku przychodziło mu z wielką trudnością. Wraz nim pojmano pięciu jego czarnych służących i musiał patrzeć, jak ich bez litości zamordowywano. Daremnie prosił i błagał dzikich oprawców, aby zmienili okrutny swój wyrok, ale na nieszczęście nie mógł być nader wymownym, nie posiadając dobrze skażonego angielskiego dyalektu, jakim się posługują na tem wybrzeżu. Wycieńczony trudami i głodem, chory, zniechęcony do życia, uważał śmierć za jedyną swą wybawicielkę. Zbliżała się ona z dniem każdym i przyzywał jej też z utęsknieniem. Aż oto wydarzenie zarówno niespodziane, jak szczęśliwe zmieniło położenie. Jeden z książąt krwi królewskiej, książę Ansah, który w dzieciństwie pojmany w niewolę, wychował się w Anglii, ujrzawszy więźnia w obozie, wzruszył się jego stanem. Dzięki kilku frazesom angielskim, jakie Bonnat umiał, zawiązała się pomiędzy nim a księciem pewnego rodzaju zażyłość. Książę Ansah, gdyby to od niego zależało, byłby bezzwłocznie jeńca uwolnił, ale Bonnat ściśle był strzeżonym, a władza młodego wodza nie była potężną.

(Dokończenie nastąpi).

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Konkurs dramatyczny**, imienia Żółkowskiego, rozstrzygnął się przyznaniem drugiej nagrody w summie 400 rs., utworowi: „Na ojcowiznie.“ Jest to dzieło dwóch piór: p. Stefanii Ulanowskiej, mieszkanki Galicyi, i p. Alfreda Szczepańskiego przebywającego w Wiedniu.

— **W Krakowie** powzięto zamiar wzniesienia pomnika Zygmuntowi Krasińskiemu. W tym celu zawiązał się komitet, który tworzą: rektor uniwersytetu Stanisław hr. Tarnowski, Konstanty hr. Przeździecki, rektor uniwersytetu Zoll i biskup Krasiński. Prezesem jest Tarnowski.

— **Serbska peryodyczna prassa** bardzo żywo się rozwija. W 1878 r., istniało w całym kraju jedno tylko pismo urzędowe, dziś jest 12 dzienników politycznych, ośm czasopism zawodowych i jeden miesięczny przegląd literacki. Razem wynosi to 21 pism, powstałych w przeciągu lat 10.

— **W Szwajcaryi** jak donosi „Kraj“ — istnieją trzy towarzystwa Polaków: w Zurychu, Genewie i Szafhuzie, otóż obecnie połączyły się one razem tworząc federacyą. W Szwajcaryi jest 250 Polaków, z tych należy 160 do federacyi.

— **Młody rzeźbiarz**, uczeń Wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, Goligowski wykonał projekt pomnika Moniuszki, któryby stanął w jednym z kościołów krakowskich. P. Goligowski jest stypendystą galicyjskiego Wydziału Krajowego.

— **Nazwisko Gladstone'a** zostanie uwiecznione nowego rodzaju pomnikiem, który wznoszą mu jego polityczni przyjaciele i stronnicy. W połączeniu z klubem stronnictwa liberalnego otwartą zostanie biblioteka, nosząca jego imię, a utworzona za pieniądz składkowy. Lokal, już urządzony, ma miejsca na 20,000 tomów.

— **Odważna amazonka** znalazła się w świecie arystokracyi angielskiej. Lady Wolf, żona świeżo nominowanego posła angielskiego przy dworze szacha perskiego, postanowiła towarzyszyć mężowi w tej podróży. Pokazało się przecież, że istnieje tu przeszkoda nie do przebycia dla kobiety, a to, że pomiędzy miejscem zwykłego wylądowania podróżników angielskich, a stolicą Persyi, Teheranem, rozciąga się przestrzeń 700 mil (angielskich), które można przebyć tylko konno. Zdecydowana na wszystko kobieta skłoniła męża do zmiany drogi, która poprowadzi ich przez Morze Kaspijskie i od granicy rosyjskiej lądem, a wtedy podróż konna ograniczy się tylko do 300 mil.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* **dołącza się Arkusz 14-ty i 15-ty powieści pod tytułem: Książę Saracinesca,** przez M. Crawford.

TREŚĆ: Byron, (wspomnienie). — **Pogawędka.** — **Praca kobiet na wystawie tkackiej,** (dokończenie), przez M. Ilnicką.—**Sonety Dantego,** (poezya), przekład Felicyana. — **Na starym gruncie,** powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza.—**List z Anglii,** (dokończenie). — **Kraj Aszantyów,** (dalszy ciąg). — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 14-ty i 15-ty powieści pod tytułem: **Książę Saracinesca,** przez Maryana Crawford. - **Przegląd mód.** — **19 wzorów ubiorów i robót z igłą** — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 3 Февраля 1888 года.